



## **Zapal świeczkę – wspomnienie o Wojtku Kopcińskim**

Zmarł nagle. W Wielką Sobotę, 23 kwietnia 2011 roku. W dniu świętego Wojciecha męczennika. W roku Miłosierdzia Bożego. Jego powrót do Polski okazał się ostateczny. Został pochowany 30 kwietnia 2011 na cmentarzu centralnym w Srebrzysku w Gdańsku Wrzeszczu. Legion żegnał Go Jego ulubionymi utworami: *Zapal świeczkę, Kiedy góral umiera, Knocking to the Heavens door*. Jego ukochana licznie zgromadzona przy grobie legionowa młodzież oddała Mu ostatni hołd gorącymi oklaskami. Aplauzem. Za to, kim był dla niej, co dla niej zrobił. Niech teatr niebieski przyjmie Go na swe łono! Był postacią charyzmatyczną. Niósł też pewną tajemnicę. On wiedział, że w milczeniu jest najwięcej treści, a w pauzie można zawrzeć cały dramat. Był prawdziwym Artystą. Natura twórcza, nerwowa, pełna słabości, na ostatnim krzyku. Nic dla Niego nie było chłodne. Albo przyjmował całym sobą, albo odrzucał. Tak samo był odbierany. Gorąco albo zimno. Był wyraźną postacią, osobowością. Umiał „zarażać” Sztuką, którą żył. To ona była dla Niego najważniejsza. Jej podporządkował wszystko. I na tej płaszczyźnie szukał porozumień. Lubił otaczać się prawdziwymi artystami, i tymi z nazwiskami, i tymi bez. Dla niego ważna była pasja, talent. Dużo wspaniałych twórców dzięki Niemu przyjeżdżało do nas, do Kórnika, na nasze coroczne warsztaty: wirtuozów gitary, pianina, jazzmanów, plastyków. To był Jego świat, w którym wspaniale się czuł. Nie dbał o własną karierę, nigdy o to nie zabiegał. Niezwykle skromny, mający bardzo małe wymagania. Ale widzący potrzeby innych, szczególnie dbał o młodzież, swoich podopiecznych, ich stawiał na pierwszym miejscu. I umiał ich prowadzić: i jako artysta, i jako patriota, i jako człowiek. To stało się dla Niego prawdziwą misją ostatnich kilku lat. Edukację przez sztukę uważał za niezwykle ważną. I na tym polu miał osiągnięcia. Stworzył jedną wielką legionową rodzinę, świadomą swoich celów: wychowania przez sztukę, popularyzacji literatury emigracyjnej i polonijnej, apostołowania młodzieży Jego autorską Pasją „Leiden”, zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. Edukacji poprzez scenę faktu o zasłużonych dla Polski wybitnych rodach: Zamoyskich i Raczyńskich. Inspiracji i tematów do naszych autorskich scenariuszy dostarczał nam kórnicki Zamek. Czuł się w nim niezwykle dobrze: *Portrety przodków nam sprzyjają* – mawiał. Jak i wśród ludzi działających zgodnie z „duchem” Zamoyskiego. Chociaż mówił o sobie „chłopak z Częstochowy”, który dostąpił elitarnych studiów na krakowskiej PWST i został przyjęty przez tamtejszą artystyczną elitę - Kórnik stał się dla niego Jego polską Ojczyzną z wyboru. Dobrze czuł się w tym historycznym miasteczku, wśród swoich podopiecznych, w „swoim” świecie. Zawsze lgnął do ludzi ofiarnych i z pasją. Sam był taki. Nie angażował się w rzeczy przypadkowe, chłodne, co do których nie miał przekonania. Szkoda Mu było czasu. Robił tylko to, co uważał za prawe, słusne i ważne. Był prawdziwym patriotą. Dla Niego to nie był pusty frazes. Choć z niemieckiej odległości, zaangażowany w sprawy Ojczyzny. W wiele akcji i działań, we wszystko, co wydawało Mu się słusne i potrzebne. Nie umiał stać z boku. Bezkompromisowy. Tak jak we wszystkim, co czynił. Zostawił po sobie spory dorobek: scenariusze, etudy filmowe, książki: *List-Dziennik, Kreuzfeuer, Der Nebel, Lusnok*, na wydanie czekają dwie następne pozycje. Miał niemieckiego wydawcę pana Stefana Fassel-Wenza i jego wydawnictwo Medu Verlag w Dreieich koło Frankfurtu nad Menem, które wydawało Jego książki. Zgłosiło Go ono na prestiżową Hotlist 2010. Jego doceniona w Niemczech twórczość zasłużyła jednak przede wszystkim na polskiego wydawcę, by Jego książki trafiły do rodaków w Polsce. Jak każdy twórca, chciał mieć jak największe grono odbiorców. Ale nieprzypadkowych, tylko takich, co odbierają na tej samej „fali”, o tych samych poglądach i zbieżnych losach. Losach emigranta „wykopanego” z Ojczyzny. Tę gorycz czuł całe życie. Umiał ją oddać w swojej twórczości, umiał też prawdziwie przekazać te losy w swoich reżyseriach: *Anioł w knajpie* Beaty Obertyńskiej czy *Czarne kwiaty* Cypriana Kamila Norwida. Sprawy oddalenia od ojczyzny sam odczuwał i rozumiał ból swoich poprzedników. Mówił ze sceny *Testament mój* Słowackiego: *Żyłem z wami/ cierpiałem i płakałem z wami/ Nigdy mi, kto szlachetny/ nie był obojętny*. Powiedział też: *Nie chcę skończyć jak Norwid*. Jego losy nim wstrząsnęły. Bronił się przed własnym przeznaczeniem. Wrócił z Niemiec do Polski. *I nie spodobał mu się świat, który zobaczył*. Poeci „przeklęci” (Stachura, Wojacek, Milczewski, Bursa) byli Mu bliscy. Mawiał: *Jestem jednym z nich*. Zrobił o nich autorski spektakl *Zaczekaj: Byli tacy, co się rodzili/ byli tacy, co umierali/ byli także też i tacy/ co im to było mało*. Należał do nich. Do tych, co nie potrafią zaczekać, co im było za mało. Jak bohaterowie spektaklu poszukiwał leku: *Jakie znasz leki, mów?* Tym lekiem była dla Niego sztuka we wszystkich jej przejawach: reżyserowanie, pisanie, wychowywanie patriotyczne i kształcenie artystyczne młodzieży. Umiał też zrozumieć zbuntowanych, o Wysockim zrobił spektakl *Przebudzenie*, i sam pełen był tego buntu:

*Śmiertelny mnie przesywa lęk,  
Że gdyby nawet koszmar pękł,  
Nie szczepną, nikt ich nie wygoni,  
Bo to przecież moi znajomi,*

*Żywi widoczni jak na dłoni,  
Sami moi dobrzy znajomi.  
O, już tu są, a kły im lśnią,  
Już suną w przytupach,  
Już za chwilę moją krwią  
Zaleją się w trupa...*

Znał wagę spraw. Był pierwszym reżyserem, który wystawił *Zapiski więzienne* kardynała Stefana Wyszyńskiego. I to w komunistycznej Polsce! I to na Jasnej Górze! SB zastraszyło głównego aktora, by nie wystąpił. Wyreżyserował więc sceny z głosem z magnetofonu w tle i sutanną na pustym krześle – co wymownie podkreślało uwięzienie Kardynała. Spektakl był wstrząsający. Z dyrekcji Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie został usunięty za realizowanie linii programowej teatru niezgodnej ze zgłoszoną. Otrzymał wilczy bilet. Odebrano Mu teatr, Jego świat, którym oddychał. Bez którego nie umiał żyć. Na liście Wildsteina odnalazł po latach swoich ówczesnych teatralnych pracowników i decydentów. Wyjechał do Niemiec. Malownicze miasteczko Altenkunstadt i przyjazny świat, ale nie Jego świat. Stał się animatorem życia kulturalnego w miasteczku. Zapraszał polskich artystów, organizował wystawy i koncerty. Dostrzeżono Jego wkład pracy, o której nie zapomniano w pamiątkowej książce o historii Altenkunstadt. I jak mógł, wyrwał do Polski. Dla Sceny Salezjańskiej w Krakowie pracował przez dziesięć lat. Był pomysłodawcą i dyrektorem artystycznym I Międzynarodowego Festiwalu Widowisk Pasyjnych, Kraków 2000. Był głęboko wierzący. Pisał: *Nie umiem wyobrazić sobie świata bez boskiej dla niego miłości, nie umiałbym żyć na tym świecie bez wiary w sens mojego istnienia*. Twoje idee, Wojtku, nie odeszły wraz z Tobą. One zostały przez Ciebie zasiane, zakiełkowały i odrodzą się w tych, których prowadziłeś. Osierocony Legion nigdy Cię nie zapomni, Wojtku, będzie pamiętać. Tak cicho, tak głośno mówi ból. Żegnaj Osobę mi niezwykle bliską. Prawdziwego Artystę, będącego dla mnie autorytetem w sztuce. Zakończyła się karta naszej wspólnej pracy. Prosimy o modlitwę za pokój Jego duszy.

### ***Maria R. Gierczyńska o Legionie***

Ponieważ uprawiam sztukę oka, a nie słowa, trudno mi było zabrać się do pisania. Bo cóż mam napisać? Legion po prostu JEST. A jednak... teraz, gdy się zastanawiam, widzę, ile w nim DOBRA. To największa jego wartość. Wszystko zaczęło się od Wojtka, który wymyślił te warsztaty dla młodzieży, wzbogacając nimi jej życie, ale również swoje, bardzo trudne na emigracji. Są dwa słowa, które charakteryzowały Wojtka: DOBRO i MARZYCIEL. Swoim dobrem ujmował i zarażał wszystkich. Jak każdy artysta miał fantastyczne marzenia, niektóre udało mu się zrealizować. Miał niewyobrażalne i zachłanne plany – ideały, a w codziennym materialnym życiu – absolutny minimalizm, ale nie programowy, tylko pochodzący z maleńkich potrzeb. Przy tym wszystkim niezwykła umiejętność radości z najmniejszych rzeczy: gestów, drobiazgów, rozmów, upominków. Taka wręcz dziecięca szczerą radość. Swoim dobrem zaraził wszystkich Legionowców chyba skutecznie, zaś Jego marzenia staramy się realizować, bo warto. Ania niebywale oddana Legionowi, niezwykle skromna i kochana, jest teraz jego kręgosłupem nie tylko literackim. Ale najważniejsza jest nasza młodzież. Udało się nam stworzyć zespół przyjaciół, z cudowną atmosferą. Ponieważ verba docent, exempla trahunt, powiem nieskromnie, że nasza młodzież jest troszkę taka jak my: pracowita i odpowiedzialna. Jest mądra, ma świadomość, że warsztaty wnoszą w jej życie w naturalny sposób wiedzę, możliwość obcowania z wyjątkowymi i ciekawymi ludźmi, bywania w fascynujących miejscach. Imponujące jest ich oddawanie wolnego czasu

Legionowi. To takie współczesne „cepculki” – szalenie odpowiedzialne. Chyba wszyscy w Legionie czujemy wyjątkową więź. Mimo że moje poczynania zawodowo-artystyczne są moją pasją, to kontakt z młodzieżą jest przedłużeniem mojej pracy na uczelni, którą bardzo lubiłam. Tworząc sceny faktu mamy idee, temat i pomysł dla naszych działań. To podsumowanie wygląda trochę jak laurka, ale jest prawdziwe, bo tak właśnie działamy. Z mojego podwórka: trudno jest stworzyć dobrą scenografię z niczego, trudno jest ubrać w kostium z epoki z niczego. Chciałoby się więcej, ale ta „gimnastyka” owocuje potem dobrymi pomysłami i większą satysfakcją. Przy okazji

niektórych przedstawień robimy przegląd naszych szaf i strychów. Czasami ascetycznie wystarczy tylko światło, które tworzy nastrój, i nasz codzienny strój, który staje się kostiumem. Szkoda, że nie mamy możliwości nagrywania naszych spektakli. Moim pragnieniem jest, żeby Legion miał chociaż SWOJE miejsce na próby i zaplecze na rekwizyty. Za gościnę Zamku na przedstawienia dziękujemy i głęboko się kłaniamy jego Gospodarzom. Przepraszam, że nie piszę o wszystkich wspaniałych imiennie: naszej Asi, której twórczy temperament udziela się wszystkim; Tomku, świetnym odkryciu Wojtka, co ufam Tomek sam opíše i wielu

innych. Z Legionem związanych jest tylu wspaniałych ludzi, choćby Ania, pierwsza tancerka Opery Poznańskiej, ludzi dobrej woli i sympatyków. Im równieździękujemy za to, że JESTEŚMY!

**Tomasz Kilarski**

### ***Na początku był... pociąg***

Dokładnie tak to się zaczęło. Pamiętam, jak dziś. Zapakowany po zęby, pospiesznym pociągiem relacji Poznań – Leszno wracałem właśnie do domu, po niekoniecznie udanej sesji. Upalne popołudnie, jak na czerwiec, Roku Pańskiego 2003. Tutaj pamięć mnie zawodzi i lepiej będzie, jak napiszę, że było to pomiędzy 20 a 28 lipca tamtego roku. Nie było miejsca w przedziałach drugiej klasy. Stałem więc przy cuchnącej toalecie, jak to w polskich pociągach bywa. Ja, torba, plecak i moja nieodłączna towarzysząca od lat osiemdziesiątych, gitara (produkcja polska, marka Defil, rok produkcji 1987, dzięki czarnym nylonom La Bella 850 B brzmiał pewnie lepiej niż niejeden Ibanez). Piszę tak szczegółowo o gitarze, bo chyba od niej wszystko się zaczęło. Stałem. Hałas był niemożliwy do wytrzymania. Dlaczego? Bo obok pociągowego szaletu jest łączenie wagonów. Trzeszczało, zgrzytało. Jedyny moment, kiedy smród schodził na drugi plan i hałas nie przeszkadzał, był wtedy, kiedy zapalałem papierosa. Dużo paliłem w tamtych czasach. Pociąg jechał planowo. Co chwilę jakiś pasażer próbował przedostać się z jednego do drugiego wagonu. Rozsuwając drzwi powodował jeszcze większy hałas. Stacja Kościan. Konduktor dmuchnął w gwizdek. Gigant ponownie ruszył. Spojrzałem na zegarek i pomyślałem, że jeszcze tylko trzynaście minut. Tyle właśnie w 2003 roku jechał pociąg z Kościana do Leszna. Po chwili kolejny jegomość próbował przedostać się do tego wagonu, którym podróżowałem ja. Pierwsze drzwi tamtego wagonu pokonał. Z tymi, które prowadziły do mojego, nie było już tak łatwo. Siłował się. Czapkę z daszkiem na głowie i kamizelkę miał džinsowe. Takie, jakie kiedyś były modne. Takie, które można było tylko z darów dostać, albo w Pewexie kupić. Broda, wąsy i charakterystyczna kitka. Jeszcze jedno zwracało uwagę, okulary. Wszyscy żartobliwe mówią o nich „denka od butelek”. Choć myślę, że te denka niejednemu uratowały życie. Pewnie i tak było z Wojtkiem, bo to właśnie o nim mowa. Przez chwilę szarpał się z drzwiami, o których wcześniej pisałem. Pomogłem. Otworzyłem rozsuwane drzwi i niewysoki jegomość wszedł był do mojego wagonu. „Dziękuję bardzo” – powiedział i... nie poszedł dalej. Poczułem woń alkoholu i jeden Pan Bóg tylko wie, co wtedy pomyślałem. Pierwsza myśl, to żeby poszedł dalej, ale On stanął. Rozejrzał się dookoła i spytał, czy może zapalić. I potoczyło się, jak koła pociągu się toczą. Jedni fachowcy mówią, że najważniejsze są pierwsze trzy minuty, drudzy, że cztery i pół. Spojrzałem na zegarek. Do stacji Leszno planowo pozostało jeszcze siedem minut. Tak, właśnie to wszystko trwało dokładnie siedem minut. Teraz z perspektywy czasu myślę, że były to najdłuższe minuty w moim życiu, a jednocześnie wiem, że jedne z najważniejszych. Woń alkoholu unosiła się w powietrzu. Wtedy Jegomość wyciągnął z jednej kieszeni paczuszkę. Był to tytoń. Z drugiej zaś bibułki, fachowo zwane bletkami. Do dziś dnia pamiętam ten zapach. Unosił się w powietrzu i łamał woń, której czuć nie chciałem. Cappuccino. Zapytał, czy chcę sobie skrócić. Odparłem wtedy, wyciągając swoją niepełną już paczkę papierosów z kieszeni, że wynalazków nie palę, poza tym nie eksperymentuję z prochami. Spokojnym głosem odpowiedział, że nie mam czego obawiać, że On tytoniu z niczym nie miesza. Ja i tak zostałem przy swoim. Wojtek jestem – powiedział. - Tomek – odparłem, podając dłoń na przywitanie. Padło wówczas z jego strony mnóstwo pytań. Co... czy... gdzie... kiedy... - pytał o wiele rzeczy. - Jak długo gram na gitarze? Czy... chciałbyś przyjechać na warsztaty muzyczne. Wiesz, organizuję, przy współpracy ze sceną salezjańską warsztaty muzyczne i brakuje mi właśnie gitarzysty. - Teraz wiem, że wtedy nie o gitarzystę mu chodziło. Podróż trwała. Minuty biegły. A czas, nie wiedząc czemu, dłużył się. Konwersacja stawała się coraz przyjemniejsza. Wojtek szafował nazwiskami, kto przyjedzie, kto to jest. Ja w odpowiedziach nie byłem dłużny. Pamiętam, że chciałem wmanewrować wtedy w te całe warsztaty muzyczne mojego kolegę, który również jest gitarzystą. Twierdząc, że jest lepszy ode mnie i przedstawiając go w samych superlatywach. Wojtek jednak z uporem twierdził, że on nie chce mojego kumpla, tylko mnie. Stwierdził, że mnie widzi i ze mną rozmawia, i nie kupuje żadnego kota w worku, jakim wtedy był dla niego mój kumpel. Po chwili rozmowy stwierdziłem, że może to jakiś wkręt. Świr. Może pod płaszczykiem warsztatów kryje się jakaś sekta. W końcu za fundamentalny argument podawał duchowieństwo, a sekciarze czasami tak właśnie postępują. Teraz wiem, że miał dobre intencje. OK - stwierdziłem. Raz się żyje. Dla, wtedy, świętego spokoju zgodziłem się. Wojtek podziękował skromnym uśmiechem. Wyciskając z kieszonki koszuli coś, potem okazały się to jego dokumenty, mówił, że jedzie do Tarnowa. Rozmawiać z dyrektorem teatru, żeby tam wystawiać swoje sztuki, albo rozmawiać z kimś, że on będzie dyrektorem teatru, nie pamiętam dokładnie. Wtedy nawet przez myśl mi nie przyszło, co

szukuje dla mnie Wojtek. Mówił, że go okradli i ukradli mu wszystko. Ciuchy, jedzenie. Mówił, że zawsze tak jest, kiedy przyjeżdża do Polski. Z owych dokumentów wyciągnął śmieszna rzecz. Oderwany skrawek, chyba róg, gazety. Zapisał na nim mój mail i zapewniając mnie, powiedział, że do siódmego lipca napisze do mnie maila ze wszystkimi szczegółami. Mi zaś wręczył swoją wizytówkę, którą mam do dzisiaj. Tam na dole jest mój adres mailowy – powiedział. Rzuciłem okiem i nie przywiązując do tego zbytnej wagi schowałem kolejną wizytówkę, otrzymaną od kogoś napotkanego na mojej drodze życia, do moich dokumentów. Kilkrotnie usłyszałem jeszcze pytanie, czy aby na pewno przyjadę. Odpowiadałem, że tak, że jak coś mówię i na coś się decyduję, to na sto procent. Pociąg zatrzymał się. Stacja Leszno. Wsiadam. Zanim jednak wysiadłem, Wojtek pytał jeszcze kilka razy, czy może na mnie liczyć. Mówił, że on na pewno do mnie napisze. Podał mi bagaże. Ucisnął moją dłoń. Konduktor odgwiżdżał swoje „gloria”... i pociąg ruszył. Z Wojtkiem na pokładzie. Dalej w Polskę. Najbardziej zdumiewające było to, że Wojtek nie napisał. Siódmego nic nie było w mojej skrzynce mailowej. Cóż więc? Pojechałem na wakacje, a mail... przyszedł pod koniec miesiąca. Szczegółów mnóstwo, w tym mapa dojazdu. No cóż. Obietnica to obietnica. Pojechałem. Na warsztaty wiozł mnie znajomy. I wtedy dopiero szczegółowo przyjrzałem się wizytówce Wojciecha Kopcińskiego ...był na niej Krzyż, a na nim okalająca go stuła z wpisanymi na niej słowami Scena Salezjańska... wtedy pomyślałem: Panie Boże, jednak to Ty prowadzisz i tak chyba ma być. By znaleźć te Strużyny, błędziliśmy, jak nigdy. Teraz wiem, że to był wtedy „koniec świata”. Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, stały tam dwa domy na krzyż. Dookoła żywej duszy. Udałem się więc na rozpoznanie terenu. Kiedy zapukałem do drzwi jednego z domów, zza drzwi rozległo się ujadanie psów. Po chwili głos kobiety: - Słucham, kogo pan szuka? – zapytała kobieta siedząca na stołku i obierająca ziemniaki. - Szukam Wojtka Kopcińskiego – powiedziałem. - To nie tu, to obok, u pani Faleńskiej – odpowiedziała uprzejmie. Poszedłem. Dochodząc do płotu zobaczyłem na nim plakat z obrazem z drogi krzyżowej i napisem LEIDEN. Z myślą, co to, wszedłem na podwórze, na którym jacyś ludzie coś robili. Po chwili usłyszałem, że ktoś mówi moje imię. - Tomek, to ty? – usłyszałem. Niskiego wzrostu człowiek szedł w moją stronę. To był Wojtek. Przywitał mnie serdecznie. - Cieszę się, że jesteś, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy, nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne – mówił podekscytowany Wojtek. - Przecieżmówiłem, że będę, to jestem – odparłem. - Ty mi życie ratujesz – ciągnął dalej Wojtek. - Jak to, co ja takiego robie? – spytałem. - Życie mi ratujesz, ja wiedziałem, czułem, że przyjedziesz, grasz główną rolę w moim spektaklu, grasz Jezusa – z radością wyartykułował Wojtek. Zamarłem. Zza pleców usłyszałem tylko pytanie znajomego, który mnie podwoził: – Co, wracamy? - Wojtek na to nie pozwolił. Z auta wyciągnął moją gitarę, plecak. Zostałem... Podczas premiery Niebios potwierdziły, że była to trafna decyzja i dobry wybór. A po premierze? Jam session. Leszek Kułakowski, jego muzycy, ja i Roni, i przyjaciele. Teraz już wiem, że są oni także moimi przyjaciółmi. Wyżej wymienieni oraz Anna Łazuka – Witek, Anna Deręgowska – Libicka, Maria Gierczyńska wraz z mężem, Andrzej Skiba, Wiesław Bednarek, Klaudiusz Soboń SDB, Teresa Scharsich i Ci wszyscy, których tam wtedy spotkałem i ze łąką w oku ich wspominam. Po premierze „Leiden” w 2003 roku, która odbyła się jeszcze wówczas pod szyldem Teatru Tritonus, jesienią były warsztaty w Turawie koło Opola – Lokomotywa. Potem Niemcy. Luty 2004 roku. Imieniny Miry. Poznałem Bettinę, z którą zagrałem koncert w Weismainie, chyba w ratuszowej piwnicy. Pomagałem wtedy także Mirze, drugiej żonie Wojtka, przy realizacji szkolnych projektów. Potem wiosna 2004 roku: „Leiden” w katedrze w Opolu. Poznałem wtedy Andrzeja Warchałowskiego. Potem koncert „Wspomnienie” w Zajeździe „Marzymięta” na trasie Kórnik – Śrem. Następnie u państwa Libickich w Radzewicach, a latem warsztaty w Boryszynie u Anny Kędryny i Roberta Jurgi – „Anioł w Knajpie”, moja druga duża, w dosłownym tego słowa znaczeniu, rola – Sztany (pan siedzący w szatni, szatniarz, przyjmuje i zwraca pozostawioną w szatni odzież). Zaczyna czas, mnóstwo nerwów, muzyki i tańca. Klimatyczne wieczory przy kominku. Tu startujemy z teatrem LEGION. 2005 rok, wyjazdy do Niemiec, koncerty: Burkgunstadt, Altenkunstadt i w Polsce: Kórnik – Nestor i... one more time „Wspomnienie”. Warsztaty... Bnin i powtórka „Leiden” w Kościele w Kórniku, a potem „Anioł w knajpie” w przyziemiach zamku kórnickiego. I potem znów koncerty w Niemczech i Częstochowa, koncert na deskach Opery z Bettiną Arnold. Listopad 2005 roku ważny koncert dla Teatru Legion w Krakowie – Solway i pani Ania Osławska. Pełna sala. Światła. Dobre znajomości. Owocny czas. 2006 rok – Niemcy i Robakowo koło Kórnika – „Leiden”. Marian Panek – przyjaciel Wojtka – trzy razy palił się. Tak powiedział taksówkarz, który przywiózł go w środku nocy na warsztaty... z Wrocławia. Potem „robił podkop”. I najważniejsza osoba, która pojawiła się w teatrze właśnie w 2006 roku – Ania Leśniczak – moja żona. Spektakl słowno muzyczny – Kórnik, Zamek, „Zaczekaj”, ja: Bruno Milczewski. 2007 rok – Bnin. „Leiden” w kościele w Bninie i... dom wariatów w przyziemiach zamku kórnickiego: „Przebudzenie”. Mówiące delfiny, profesor i inni... wariaci. No i jeszcze koncerty Romana Jasińskiego ku pamięci Jacka Kaczmarskiego. 2008 rok – Bnin. Warsztaty bardziej muzyczne i nie tylko. Andrzej Saks – gitara... świetny muzyk. Później dotarł do nas także pan ratownik z Osiru. Powtórka domu wariatów. 2009 rok – Bnin. „Kabaret”, „Kto da więcej?”. Spektakl odbył się w zamku w Kórniku w Hallu na pierwszym piętrze. Roni, Julka i Raszyd... ogień w szopie. 2010 rok – Bnin. Spektakl słowno-muzyczny. Teksty piosenek Anna Łazuka-Witek, muzyka Leszek

Furman. Andrzej Młodkowski – barwna postać Częstochowskiej sceny muzycznej – akompaniował mojej żonie Ani. No i delfiny i dom wariatów „Przebudzenie” one more time. 2011 rok. Trudny czas. Tragiczna śmierć Wojtka... przed nami dużo pracy. Kiedyś to się zaczęło, trwa do dziś i musi trwać...Kiedy reżyserował spektakle chodził, patrzył, słuchał, przyglądał się. Chodził ze mną na długie spacerzy. Nie mówił, to ma być tak, a to tak. Mówił inaczej. To nie mój świat. Ja nie idę w ten świat. To nie jest tak. To otoczenie tworzy króla. Pozwalał mi odnaleźć siebie w roli, w której mnie obsadził. Jakby chciał udowodnić samemu sobie, że to właśnie on wybrał najlepszego aktora do tej roli. To on, zawsze z wielkim zdziwieniem i fascynacją, powtarzał mi, że nie wie, jak to jest ze mną, ale jak wchodzę na scenę, to po prostu jestem, błyszczę i jest ze mną ten blask, że mam to coś. Brakować mi będzie też tego, że po każdej premierze, po każdym spektaklu był bankiet i kiedy impreza chyliła się ku zachodowi On mówił: - Tomek, weź gitarę i zagraj: Dylana, Dżem, Stachurę... i grałem, i końca nie było, aż...przyszedł świt... To wszystko dzięki niemu... To On mnie odkrył. Choć nie ma Go już wśród Nas, to dla mnie On nadal żyje i zostanie pomnik trwalszy od spiżu tu na tej ziemi zostanie... pamięć!!! Był dla mnie jak ojciec... Mój reżyser... Mój profesor... śp. Wojciech Kopciński.

### ***Anna Kilarska***

Moja przygoda z Legionem rozpoczęła się w 2006 roku. Był upalny sierpniowy dzień. Tata dowiózł mnie samochodem do szkoły w Robakowie, gdzie rozpoczynały się kolejne warsztaty teatralne. Cóż to takiego?? Grupa młodych, wrażliwych, utalentowanych ludzi, pochodzących z różnych krańców Polski, raz do roku, w okresie wakacji spotyka się w celu wspólnego tworzenia sztuki, by w efekcie pokazać ją publiczności. Większość osób już dojechała. Uściskom, krzykom, rozmowom nie było końca. Widywali się bowiem rzadko, ale znali się od lat. Ja nie znałam nikogo poza Tomkiem – moim obecnym mężem:) On także od dawna należał do zespołu. Czekał na mnie przed szkołą w towarzystwie Ani Łazuki-Witek, która bardzo mile i ciepło mnie przywitała. Chwilę później dłoń moją ucałował – bo taki miał zwyczaj – pomysłodawca całego tego przedsięwzięcia i główny reżyser Wojtek Kopciński. Dziwny człowiek, pomyślałam w duchu. Uprzejmy, otwarty, a zarazem jakiś taki nieschludny artysta. Zaprosił mnie do współpracy i wprowadził do grupy. I tu zaczęły się moje obawy. Jestem przecież nowa i nie łatwo jest wejść do tak silnie związanej ekipy. Jak oni mnie odbiorą? Czy uda nam się nawiązać dobre relacje? Czy w wyniku ogromnej sympatii do Tomka będą się czuli jedynie zobowiązani zaakceptować moją osobę?? Takich pytań było mnóstwo. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ciągle jestem obserwowana i analizowana. A przecież wszyscy byli wobec mnie bardzo mili i bezpośredni, jakbyśmy znali się już wcześniej. Następnego dnia ruszyliśmy do boju. Wojtek zapoznał nas z planem pracy i przedstawił dwa scenariusze. Przez pierwszy tydzień przygotowywaliśmy „Leiden”. Teatr wystawiał ten spektakl już kilkakrotnie. Dla większości była to tylko kwestia przypomnienia i dopracowania szczegółów. Nowicjuszy należało wtajemniczyć w fabułę. Tomek był odtwórcą głównej roli – Jezusa Chrystusa. Nigdy nie zapomnę dreszczu, jaki ogarnął moje ciało i łez płynących po policzkach podczas wykonywania przez niego utworu „Getsemani”. Wówczas zrozumiałam, że uczestniczę w czymś naprawdę ważnym i ponadczasowym. Dla mnie również została przewidziana partia solowa. I gdy przyszła moja kolej, czułam ogromną radość, a jednocześnie stres. I jeszcze oczy wszystkich zwrócone na mnie w oczekiwaniu... jak ja to zaśpiewam??? No cóż... Nie mnie oceniać. Chyba nie było tak źle. Pierwsze koty za płoty. Teraz już będzie z górki – pomyślałam. Przedstawienie się odbyło, aktorzy usatysfakcjonowani, reżyser zadowolony. Świętowanie sukcesu musieliśmy odłożyć jednak na później. Czekał nas bowiem kolejny tydzień pracy nad zupełnie nowymi fragmentami tekstu. Nazajutrz wszyscy zebrali się w jednej sali, by wspólnie zapoznać się ze scenariuszem „Zaczekaj”. W jego interpretacji jak zwykle pomagała nam Ania Łazuka –Witek, a mimo to fabuła zdawała się być trudna i niezrozumiała. W pewnym momencie podszedł do mnie Wojtek i poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Nie potrafię w tej chwili dokładnie zacytować jego słów. Mówił i pytał dość dużo. Zaufał mi na tyle, by powierzyć główną rolę śpiewającą – Fatum. Moje zaskoczenie było ogromne. Oczywiście zgodziłam się, chociaż nie zdawałam sobie sprawy, ile to będzie wymagało ode mnie pracy, nauki i poświęcenia. Ale jakże motywująca była myśl o wystąpieniu w Zamku Kórnickim. Miałam zaledwie 5 dni na opanowanie kilku utworów solowych i grupowych. Codzienne próby, zmagania z tekstem, szlifowanie kunsztu aktorskiego stały się dla mnie priorytetem. Pamiętam, jak szukałam spokojnego zakątka, by w ciszy i skupieniu oddać się nauce. Narastające zmęczenie bardzo osłabiało kondycję. Czas działał na moją niekorzyść. Nadszedł dzień premiery. Scenografia gotowa, kostiumy dobrane, do przedstawienia pozostało kilka minut. Na widowni zabrakło wolnych krzeseł. Wszyscy nerwowo wyczekiwaliśmy rozpoczęcia. W końcu wybiła „godzina zero”. Pełna mobilizacja, zaangażowanie i stres towarzyszyły każdemu z nas. Kartka po kartce i ani się obejrzałam, a dotarliśmy do końca scenariusza. Gromkim brawom nie było końca. Osobiście otrzymałam wiele gratulacji. Czy to znaczy, że podołałam? Dałam radę wyzwaniu? Tak. Może to nieskromnie zabrzmia, ale z dumą i ogromną radością w sercu opuściłam mury kórnickiego zamku. W jakiś sposób spełniło się jedno z moich marzeń. Warsztaty teatralne

otworzyły przede mną nowe perspektywy. Dołączyłam do grupy wspaniałych i wrażliwych ludzi, których łączy pasja, zamiłowanie do śpiewu, aktorstwa i sztuki teatralnej. Chętnie razem spędzamy czas, muzykujemy i bawimy się słowem, co daje nam poczucie samorealizacji i coraz bardziej zacieśnia nawiązane znajomości. W 2007 roku wspólnie z Tomaszem Kilarskim wzięliśmy ślub. Jako „legionowe” małżeństwo kilkakrotnie mieliśmy okazje występować dla publiczności. Zorganizowano koncert z naszym udziałem – „Klimaty”. Z czasem do zespołu dołączyły nowe osoby. Na mnie spoczęła odpowiedzialność za przygotowanie części wokalne. Nic nie sprawiało mi takiej radości, jak prowadzenie zajęć z emisji i nauki nowych piosenek. Każde warsztaty były nowym wyzwaniem i doświadczeniem, które ubogacały moją osobowość. Z roku na rok stawałam się odważniejsza i dojrzała w tym, co robię. Dziękuję Ci, Wojtku, że uwierzyłeś w mój talent, w mój głos .... we mnie.